Numer zawiera 4 strony

OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Cena n-ru 15 gr.

W CAŁYM KRAJU

X muza

tygodnik ilustrowany

ROK I — WARSZAWA, DNIA 27 CZERWCA 1937 R. — Nr. 12

FILM ◦ TEATR ◦ MUZYKA ◦ TANIEC ◦ RADIO ◦ MALARSTWO ◦ FOTOGRAFIA ◦ SPORT ◦ TURYSTYKA ◦ MODA ◦ KOSMETYKA ◦ ROZRYWKI

KORONACJA W LONDYNIE BYŁA, KORONACJA W WARSZAWIE BĘDZIE!

SZCZEGÓŁY NA STR. 2-ej

KAROL FORD

TECHNIKA NIE POWINNA NIWECZYĆ REALIZMU

Film z konieczności, z natury swojej jest widowiskiem „sztucznym". Jego sztuczność polega na sposobie odtwarzania. Przecież w sali kinowej nie oglądamy żywych ludzi, a tylko ich obraz, nie słyszymy ich naprawdę, a tylko reprodukcję ich głosu. Z tym wszystkim pogodziliśmy się już dawno, bo pomimo, tej pozornej sztuczności, kino jest żywą odmianą Sztuki (przez duże S!), dzięki swoim odrębnym pierwiastkom, jak ujęcia zdjęć, montaż etc.

Jeżeli piszemy w tytule, że technika nie powinna niweczyć realizmu, mamy zupełnie co innego na myśli. Zło leży w tym, że niejednokrotnie twórcy filmu nadają poszczególnym jego elementom sztuczność i pewnego rodzaju zakłamanie artystyczne — bez istotnej potrzeby. Oglądamy naprzykład na ekranie pięknego bohatera. Jeździ konno wśród urwistych skał. Nieprawda. To nie on jeździ, tylko t. zw. stuntman, czyli zawodowy jeździec, który za kilka dolarów ryzykuje złamanie karku. Potem bohater śpiewa swojej bogdance serenadę, akompaniując sobie na gitarze. Znowu nieprawda! Na gitarze gra ktoś inny, a śpiewa jeszcze ktoś inny. Dźwięk jest tylko sprytnie podłożony. Kiedy jeszcze później nasz bohater dostaje się do opery, jako tenor, widzimy go wprawdzie z daleka, ale słyszymy... płytę z głosem Carusa!

W pogoni za łatwizną, a przede wszystkim za oszczędnością, filmowcy wynaleźli cały szereg udoskonaleń technicznych, które do reszty odbierają widzom reprodukcję istotnej rzeczywistości. Pierwszym walnym zwycięstwem kina nad teatrem było przeniesienie akcji z dekoracji na prawdziwy plener. Coraz częściej, niestety filmowcy rezygnują z tej prerogatywy i to w sposób naprawdę przesadny. Celem uniknięcia olbrzymich nieraz kosztów ekspedycji na dalekie tereny, reżyserzy urządzają się dość praktycznie. Za pomocą systemu technicznego, zwanego „transparence", mogą przenosić swoich bohaterów na tysiące kilometrów w głąb puszczy lub lasu dziewiczego, nie wychodząc z nimi z atelier. Ustawia się w tym celu wielką taflę matowego szkła. Na tym ekranie wyświetla się film, nakręcony poprzednio przez pojedyńczego operatora lub też zgoła — wypożyczony z wytwórni filmów krajoznawczych. Przed tym ekranem ustawiają się aktorzy, którzy odgrywają swoją scenę, naśladując jazdę konno, samochodem, etc. Tym właśnie systemem nakręcone były liczne sceny z filmu „Bosambo" (np. śpiew Robesona na tle płynących łodzi), scena konnej jazdy i rozmowy księżniczki Aurory ze swoim przyszłym mężem w „Koenigsmarku", scena wędrówki Franciszka Paradisa w czasie zawiei śnieżnej w filmie „Maria Chapdelaine" i scena wożenia łóżka w filmie „Prawo do szczęścia".

Wygoda panów reżyserów dochodzi do tego, że posługują się systemem „transparence" lub zbliżonym doń „dunningiem" (nagrywanie sceny na tle czarnej kotary i montowanie jej potem w właściwe ramy) nawet wtedy, kiedy w grę wchodzi zwykły spacer po ulicy, czy też jazda samochodem w mieście, w którym znajduje się wytwórnia. Udogodnienie polega na tym, że w pracy nikt nie przeszkadza i że dźwięk wychodzi niczym nie skażony. Tego rodzaju zdjęcia można jednak łatwo odróżnić, dzięki temu, że drugi plan jest zawsze szary i nieostry.

Inny znów rodzaj „sztuczności", to dubbing. Gdy przed trzema laty jeden z dzienników warszawskich ogłosił ankietę na temat wprowadzenia dubbingu w Polsce, sformułowałem swoje stanowisko w sposób następujący: Z punktu widzenia artystycznego i widowiskowego jestem zdecydowanym przeciwnikiem dubbingu. Uważam go za pewnego rodzaju „oszustwo artystyczne", ponieważ nie mogę pogodzić się z tym, że ktoś (przeważnie nie mający nic wspólnego z samą realizacją danego filmu) urywa część głosową obrazu, eskamotuje poprostu głos i intonację danych aktorów, aby zastąpić je głosem i intonacją innych, może równie dobrych, ale z konieczności ujmujących dane role inaczej, niż ich odpowiedniki wizualne. Stwarza to zupełnie niepotrzebny i nieznośny dualizm artystyczny.

Trudno pogodzić się z myślą, że widać na ekranie twarz, grę, mimikę Harry Baura czy też Charles Boyer'a, a słychać głos i intonację pana X czy pana Y!

Wysuwam tylko te dwa zasadnicze zastrzeżenia, ponieważ przyjmuję a priori, że dubbing będzie przeprowadzony pod względem technicznym idealnie.

Od tego czasu zrobiono u nas kilka prób dubbingu. Przekonaliśmy się, że idealne jego wykonanie nie daje się tak łatwo osiągnąć, a przy tym wyżej przytoczonych zarzutów natury zasadniczej nie zdołano dotychczas obalić. Dubbing nie zdał egzaminu i dlatego lepiej zaniechać dalszych prób.

Trudno poprostu uwierzyć, że realizatorzy filmów starają się za pomocą dunningów i dubbingów niweczyć największe zdobycze kinematografii wogóle, a kinematografii dźwiękowej w szczególności. Przecież za wielkie szczęście powinien sobie poczytywać mieszkaniec Krosna czy Chojnic, że może oglądać na ekranie turystów, wspinających się na Jungfrau, jeźdźców, cwałujących po preriach Dalekiego Zachodu, czy też rybaków islandzkich, borykających się z rozszalałym żywiołem morskim, usłyszeć może głos i dykcję takich aktorów, jak Harry Baur, Charles Laughton czy Hans Moser. Poco więc to wszystko gwałtownie niweczyć?

PROF. DR. HENRYK KORAL

SZCZĘŚLIWY KRAJ W NIM MILI LUDZIE

Kiedy w roku 1924 wchodziłem w skład delegacji Polskiej na kongres prawa Międzynarodowego, który odbywał się w Sztokholmie, doszedłem do wniosku, już 13 lat temu, że Szwedzi posiadają jedną specyficzną cechę: mianowicie biją rekord gościnności. Nie czas teraz, ani tutaj miejsce by się dzielić z czytelnikiem wspomnieniami z przed laty.

Wspomnienia te jednak zostały nie zatarte; czułem, opuszczając gościnną Szwedzką ziemię, że tam jeszcze kiedyś wrócę.

Po latach trzynastu nadarzyła się okazja:

Od czasu kongresu berlińskiego, ściśle mówiąc od chwili powstania Międzynarodowej Izby Filmowej, jedną z najbardziej czołowych postaci na konferencjach międzynarodowych, a także samej Izby, jest jej wice-prezes p. Olaf Anderson, naczelny dyrektor „Svensk Filmindustri".

Słyszeliśmy go zabierającego głos w dyskusjach na komisji prawa autorskiego w Berlinie, następnie Bruksceli i w Warszawie, a ostatnio na komisji prawniczej w Paryżu, gdzie wystąpił z umotywowanym wnioskiem zmierzającym do założenia, przy Międzynarodowej Izbie Filmowej, stałego archiwum prawniczego. Ponieważ zbiegiem okoliczności mnie powierzoną została piecza nad czymś ogromnie ważnym dla przemysłu filmowego wogóle, a dla prestiżu Polski w szczególności, musiałem dla nadania temu „czemuś" form konkretnych znaleźć wytwórnię filmową, stojącą na wysokim poziomie — pomyślałem wówczas o wytwórni „Svensk Filmindustri". „Svenska" to olbrzymie przedsiębiorstwo, do którego zdaje się należy większość kin na Półwyspie Skandynawskim. W biurach, mieszczących się w olbrzymim budynku, znajduje się nawet specjalny dział, w którym kilkadziesiąt telefonistek obsługuje tyleż aparatów, aby można było co wieczór zamawiać dowolnie bilety otrzymując odrazu przez telefon numer krzesła i rząd. Na ostatnim piętrze mieści się jadalnia gdzie cały personel dostaje posiłki, korzysta z tego również i sam prezes „Svenski". Śniadanie złożone z mięsa, jarzyn i nieodzownej filiżanki kawy kosztuje aż.... 50 eores (około 65 gr.). Kiedy wyraziłem zdumienie, że jest tak tanio i smacznie, odpowiedziano mi z uśmiechem, że „kalkuluje się" to nieco drożej, ale resztę dokłada firma. Zwiedzając luksusowe kina szwedzkie, oglądając filmy tamtejszej produkcji pomyślałem sobie, że trzeba by było produkcję „Svenskiej" pokazać znów w Polsce, gdzie już zapewne o niej zapomniano, choć dawniej, za czasów filmu niemego, często gościła na naszych ekranach.

A teraz przystępuje do właściwego celu mojego do Sztokholmu wyjazdu:

Od szeregu lat przemysł filmowy jest w pogoni za filmem kolorowym. Wiele było nie udanych prób; zgłoszono setki patentów na wynalazki w tej dziedzinie, miliony wydano już na studia... wszystko na nic. Piękne kolory stawały się iluzoryczne, gdy je w formie praktycznej chciano przenosić na duży ekran, inne bladły gdy na taśmę wchodził dźwięk... a poza tym zbyt wiele wynosiły koszty produkcji. Wiele obiektywów (4.8.16), konieczność nie normalnego tempa przy kręceniu, przewaga jednego koloru t. zw. „paralaksa" i szereg innych trudności, spowodowały, że przy udanych 98% ostatnie 2% uniemożliwiały praktyczne zastosowanie wynalazków. Straciwszy duże kapitały, filmowcy przestali wkońcu szukać rozwiązania zagadki, a nawet zaczęli stronić od wszystkich interesów z filmem kolorowym związanych.

Właściwy system został jednak odkryty. Dokazał tego polski inżynier Adam Hełm-Pirgo, zamieszkały, w Zakopanem, któremu po wieloletnich studiach i mozolnej pracy udało się sprecyzować wynalazek umożliwiający tworzenie 100% filmu kolorowego przy dokładnie takich samych, a może nawet mniejszych kosztach produkcji.

Wynalazek polski polega na tym, że aparat do zdięć uzupełnia się specjalną „przystawką" (koszt jej jest minimalny), co nie przeszkadza w używaniu aparatu w dalszym ciągu do nakręcania filmów czarno-białych.

Jeszcze mniejszej przeróbki wymagają aparaty projekcyjne, zdatne — do każdego użytku.

A więc inwestycje dla możności wyświetlania w kinie filmu systemem Hełm-Pirgo są zupełnie nikłe, mieszczą się wręcz w ramach normalnych wydatków na konserwację aparatury.

Kiedy inż. Hełm-Pirgo, prezentował mi swój wynalazek, starał się przekonywać nie tylko formułkami matematycznymi, ale również prymitywnymi przezroczami porobionymi w celach doświadczalnych. Ja w niego uwierzyłem, ale to było za mało.

Ażeby móc praktycznie wykorzystać rezultat twórczej pracy polskiego wynalazcy, należało się zabezpieczyć w patenty zagraniczne i uczynić coś takiego, co by potrafiło bodajże w zaczątku owoce jego wysiłku pokazać. Ale nawet na najprymitywniejsze aparaty, na wykup świadectw patentowych i na ruszenie z tym wszystkim w świat, potrzeba wszak było pieniędzy.

I znalazł się w Warszawie człowiek nie tak zamożny, ile odważny p. Jakób Puszet, który zebrał na omawiany cel kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Mam wrażenie, że dziś tego bardzo nie żałuje!

Do eksploatacji racjonalnej nowej rzeczy przystąpiła „Svensk Filmindustri" łącznie z grupą polską. Najlepsi fachowcy świata w dziedzinie techniki filmowej musieli przyznać, że w Polsce powstała rzecz bardzo duża, rzecz przesądzająca zagadnienie filmu kolorowego.

Znaczek noszony przez współpracowników „Svenskiej"

Wielka wytwórnia skandynawska (prezes Olaf Anderson), rozpoczyna produkcję pierwszego filmu barwnego systemem Hełm-Pirga. W ciągu dwóch, trzech miesięcy mamy go już ujrzeć na ekranach!



Zdjęcie dokonane w ogrodzie studio „Svenskiej". Od lewej stoją: pp. Jakób Puszet, dyr. techn. Grill, adw. H. Koral, inż. Jakobson, prezes Olaf Anderson i przedstawiciel „Svenskiej" na Francję Wettstein



Wynalazca
Inż. Adam Hełm — Pirgo

CZESŁAW NAPIÓRKOWSKI

POLSKIE RADIO I... MUZYKA

Polskie Radio zrezygnowało z tak lubianych przez publiczność transmisji muzycznych z teatrów, a przecież w swoim czasie był to bezpośredni kontakt prowincjonalnej publiczności z tą czy inną sceną teatralną. Publiczność wręcz przepadała za tym jedynym kontaktem miast, miasteczek i wsi z muzycznymi teatrami stolicy.

Oklaski, reakcje śmiechu zaciekawiały i podniecały. Ułatwiały pracę wyobraźni u radiosłuchacza. Biurokratyczne mózgi pozbawiły jednak abonentów radia tej jedynej w swoim rodzaju przyjemności, a szkoda! W sezonie bieżącym można było transmitować „Dzwony Kornewilskie" i „Noc w Wenecji" — z Opery, „Wesołą wdówkę" i „Zakochaną królowę" — z Wielkiej Rewii, „Gaby" i „Tanic szczęścia — z Teatru „8.15"

Radiosłuchacz wciąż czeka na operetkę choćby nawet ze studia nadaną

Brak nowości w tym zakresie? Być może, nie opłaca się przecież żadnemu z tłumaczów przyswajanie utworu na jednorazową reprezentację. Ale zwolennicy operetki usłyszeliby ze studia z przyjemnością i te najmilsze, z przed lat paru, przeboje... któż nie odświeży sobie z rozkoszą przemiłych wspomnień z „Maricy", „Balu w Savoy", „Pepiny", „Kwiatu Hawaju", „Rose Marie", „Luxemburga", „Kobiety, która wie czego chce", „No, no Nanette", „Manewrów jesiennych", „Fryderyki" („Miłość poety"), „Polskiej krwi", lub „Miłosnych walców"? A tak, zbiegiem okoliczności, niezmiernie aktualna „Gaby", treścią której jest abdykacja króla zakochanego w tytułowej bohaterce, gdzie prześliczna muzyka Grüna daje śpiewakom efektowne pole do popisu. Ulubienica radiosłuchaczów, Lucyna Szczepańska, kreowała przecież tytułową rolę na scenie. Z jaką rozkoszą posłuchanoby słowiczego głosu artystki w roli tej, dla której młody król wyrzeka się korony.

Radio nasze im jest bogatsze, im zasobniejsze, tym okazuje się uboższe w atrakcje, nudniejsze i coraz mniej liczące się z gustami radiosłuchaczy.

Pamiętać trzeba, że zagraniczne płyty jazzowe nie wszystkim wystarczają, jako jedyny gatunek muzyki rozrywkowej.

JEAN HARLOW nie żyje



Zmarła ostatnio, w Hollywood młoda, utalentowana aktorka Jean Harlow. Rozpoczęła swą karierę filmową bardzo wcześnie w 18-tym roku życia, zawdzięcza ją w pewnym stopniu Ziegfieldowi, w rewiach którego występowała. Szybko pięła się w górę, zdobywając sobie ogromną popularność, szczególnie dzięki stworzeniu nowego w dziejach ówczesnej kinematografii typu „blond-vampa". Pamiętamy ją wszyscy w filmie „Jasnowłosa trucizna", który cieszył się powodzeniem wręcz niebywałym. Po tym przyszły inne — „Platynowa Blondynka", „Suzy" i t. d. Pracowała kolejno dla szeregu wytwórni: Foxa, Paramountu, Columbii, i ostatnio Metro - Goldwyn - Mayer, grając zawsze role kobiet, pozbawionych skrupułów i kpiących z wszelkich zasad moralności. Ostatni film zmarłej aktorki wyświetlany w Polsce, to pamiętna „Żona czy sekretarka". Jean Harlow — w króciutkim swym życiu była zamężna trzykrotnie. Odznaczała się wybitną urodą i temperamentem. Umarła w okresie rozkwitu swej kariery artystycznej, w wieku lat 26, pozostawiając po sobie szczery smutek i żal.

„Pekis"

CAŁA POLSKA GŁOSUJE!

PRZEBIEG NASZEGO PIERWSZEGO PLEBISCYTU NA KRÓLOWĘ SCENY POLSKIEJ

Głosy na poszczególne kandydatki napływają z całej Polski. Głosują: Warszawa, Łódź, Kraków, Lwów, Wilno, Grodno, Sosnowiec, Płock, Włocławek, Katowice, Bydgoszcz, Toruń, Stanisławów i t. d. i t. d.

Dotychczas otrzymały głosów: **Maria Malicka — 197, Janina Biesiadecka — 129, Zofia Jaroszewska — 127, Zofia Lindorfówna — 43, Leokadia Pancewicz-Leszczyńska — 39, Janina Romanówna — 33, Irena Eichlerówna — 27, Elżbieta Barszczewska — 19, Maria Gorczyńska — 12, Jadzia Andrzejewska — 11, Krystyna Ankwicz — 9, Halina Cieszkowska — 8, Maria Modzelewska — 7, Jadwiga Smosarska — 6, Irena Grywińska, Karolina Lubieńska i Roma Pawłowska-Jezierska — po 5, Mira Zimińska — 4 głosy.** W ostatniej chwili nadeszło zbiorowo kilkadziesiąt głosów na p. **Relewicz-Ziembińską** — razem otrzymała ona 37 głosów.

Przypominamy, że głosy na ustalone kandydatki należy nadsyłać w dalszym ciągu p. a. Redakcji „X Muzy", Al. Jerozolimskie 43.

Pomiędzy Czytelników „X Muzy", biorących udział w głosowaniu zostaną rozlosowane następujące nagrody:

Zegarek firmy „Agfa"

Dwa aparaty fotograficzne „Baby Browne" firmy „Kodak".

Pióro wieczne firmy „Żak".

Wyroby kosmetyczno-perfumeryjne firm:

Academie Scientefique de Beauté, Paris.

W. Falkiewicz, Poznań.

„Deva" w/m.

„Galanteria Wiedeńska" w/m.

„Gillot" w/m

W. Kruszecki w/m.

Pinaud, Paris.

„Ravis" w/m.

„Świt" lab. dr. J. Świtalskiej w/m.

50 bezpłatnych zabiegów kosmetycznych pod kier. prof. p. C. Sandler.

Bilety bezpłatne do teatrów i kin warszawskich

oraz

Efektowne portrety najpopularniejszych „gwiazd" amerykańskich i europejskich.

Po skończeniu Plebiscytu ogłoszona zostanie lista nagrodzonych Czytelników.

KUPON PLEBISCYTOWY — Seria V

IMIĘ I NAZWISKO GŁOSUJĄCEGO ....

MIEJSCOWOŚĆ ....

ADRES ....

ODDAJĘ GŁOS NA ....

PODPIS ....

Z cyklu: „PODCIĘTE SKRZYDŁA



KAZIMIERA NIEWIAROWSKA
W 10-lecie zgonu.

Okrutna bajka o złotoskrzydłym motylu — to życie Kazimiery Niewiarowskiej. Właściwie dla ludzi teatru jej wspaniała, olśniewająca kariera była swego rodzaju niespodzianką. Mała, drobna blondyneczka tułała się po prowincji, śpiewając w chórze, grając znikome rólki w komediach i operetkach. Śpiewała wtedy nawet Zofię w „Halce" wystawianej w Kaliszu za czasów dyrektora St. Książka.

W Warszawie pojawiła się w Teatrze Małym za dyrekcji ś. p. Kazimierza Zalewskiego, grając subretki i podlotki (rok 1911-12). Letni sezon teatrów rządowych w ogródku w Bagateli stał się przełomem w karierze młodej aktoreczki. Jednoaktowe wodewile ujawniły muzykalność, dryg taneczny i maleńki głosik, co spostrzegł odrazu niezapomniany ś. p. Ludwik Śliwiński i zaangażował Niewiarowską do ówczesnych „Nowości". Tu już poszło szybko. I naprawdę bez protekcji. Śliwińskiemu była potrzebna młoda wodewilistka. Śmiało więc obarczył Niewiarowską szeregiem odpowiedzialnych zadań. Subretka w „Targu na dziewczęta", mała rumunka w „Królu skrzypków" (popularne podówczas „Ha-ca-ca", którym czarowała Warszawę), pyszna rola w burlesce „Gdy noc zapadnie", a przede wszystkim niezapomniana „Nitouche". Po tym emigracja i duże sukcesy w Rosji, uwieńczone wielkim zaszczytnym tryumfem artystycznym w „Córce pani Angot" na scenie teatru Stanisławskiego. Ten wielki tryumf przyczynił się, niestety, do pewnego nieporozumienia. Gdy Niewiarowska wróciła do kraju (w 1922 r.), zapragnęła przejścia na partie primadonn, do których jednak natura nie dała jej głosu. Wysoki poziom aktorski, znakomity dialog, świetne postawienie roli, pomysłowość w toaletach — łącznie z muzykalnością i pamięcią zupełnie fenomenalną, wszystko to olśniewało Warszawę i tworzyło jakby nową epokę w operetce osieroconej właśnie przez Ćwiklińską, która przeszła do dramatu. Brakowało tylko... głosu, którym Niewiarowska mogłaby dorównać Kaweckiej czy Messal, znajdującym się podówczas jeszcze w znakomitej formie.

Takie role, jak „Dolly" czy „Madame Pompadour", pozostały jednak w dziejach warszawkiej operetki wspomnieniem wysokowartościowych kreacji. Do niektórych („Perły Kleopatry", „Marica"), mimo ciągłej pracy nad głosem brakło Niewiarowskiej środków śpiewaczych. A że była równie znakomitym organizatorem jak aktorką — poszła na kompromis i zaangażowała Kawecką, a potym Messal, by obok nich grać role czysto wodewilowe, w których była niezrównana.

Ostatni jej sukces to „Adieu Mimi" („Niebieska myszka") Benatzkyego, kreacja najwyższej klasy komediowej.

Szalony rozmach życiowy, odwaga, często bezwzględność, pędziły Niewiarowską wciąż naprzód i wzwyż. Uwielbiała piękne stroje i jak stubarwny motyl błyszczała nimi w świetle ramp. W życiu była tylko niestrudzonym pracownikiem. Nie bawiła się. Niemal że nie miała życia osobistego. Nie ukazywała się na parkietach dancingowych. Okrutna dla wrogów, troskliwa dla przyjaciół, idealna córka, surowa i wymagająca żelaznej dyscypliny dyrektorka, była niepospolitym typem, rządziła się zawsze instynktem człowieka teatru. Wiecznie szukała nowych dróg... chociaż myliła się często w tych poszukiwaniach, nie znosiła przeciętności.

W dniu 30 czerwca 1927, jak piorun z jasnego nieba, gruchnęła wieść o tragicznej, przerażającej śmierci Złotego Motyla, któremu płomień niepokoju spalił barwne skrzydła. Jeżeli miała — jak my wszyscy — jakieś winy, to cierpienia fizyczne ostatnich godzin, winy te zmazały bez reszty.

Zmarła przedwcześnie. Dziś byłaby jeszcze młoda i piękna. Jej zmysł organizatorski mógłby i obecnie życiu artystycznemu stolicy przysporzyć dużo poczynań ciekawych i niebanalnych.

BRZUCHOMÓWCY

z P. I. S. T-u

Nie jest rzeczą nową, że nie tylko śpiewak musi mieć głos postawiony, ale i mówca, adwokat, prokurator, prelegent, a cóż dopiero aktor dramatyczny! Gardłowy, zduszony, nie impostowany nie oparty na oddechu, nie wyćwiczony i nie wyrównany w rejestrach głos — to dla aktora pewne fiasco! Bo dykcja oraz prawidłowa wymowa liter więcej ma wspólnego z wyrobieniem oddechu i właściwą pozycją głosu, niżby się to laikom wydawać mogło. Aktor z nie postawionym głosem to — dyletant!

Refleksje tego rodzaju psuły sumę dodatnich wrażeń, jakie przyniósł popis tegoroczny P. I. S. T-u.

Zanim to, czego debiutanci nauczyli się w szkole, potrafią zrealizować na scenie, długo, długo będzie trzeba czekać.

Z całego popisu najlepiej wypadł „Pan Benet" Fredery. Był przynajmniej w y r e ż y s e r o w a n y. To samo można powiedzieć o „Don Juanie", „Sędziach" i „Klątwie". Mile również wypadły starannie opracowane fragmenty: „Przeprowadzki", „Aszantki", „Mezaliansu" i „Człowieka z budki suflera".

Naogół materiał aktorski obiecujący. Lepszy niż na poprzednich popisach, ale biedacy wydobywali z siebie głosy źle impostowane, a jeśli dodać do tego przeraźliwą tremę wypływającą z braku obycia ze sceną, to nawet z natury piękne głosy były wyduszone przez zaciśnięte gardła.

Najciekawiej zaprezentowała się Jaga Boryta. Ma piękną, nowoczesną sylwetkę, dobrą dykcję i wyraziste rysy. Obok doskonałych warunków p. Szalawski rozporządza ładnym głosem, który (jak u wszystkich) był zduszony, a przez to samo nie robił należytego wrażenia. Wymienić jednak należy wszystkich — Zintel, Cygler (duży temperament), Szymański, Z. Blichiewicz (miła aparycja), Kozłowski (przehisteryzowany jako Henryk), A. Possart (dużo lepszy Kasper, niż Wyspiański w Ateneum), J. Skulski, T. Woźniak, M. Arczyńska (dobre warunki, duży tupet i zdławiony głos — zrobi napewno karierę!), Chrzanowska (dobra do ról mężatek, ale nie — naiwnych), H. Billing (chyba Billinżanka lub Billingowa?!), H. Buyno (przemyślana postać Jewdochy).

Reżysersko najgorzej wypadła „Maria Stuart" Słowackiego. Aktorzy zachowywali się jak zmanierowane stare panny. Program nie podaje nazwisk profesorów i reżyserów. Z zapowiedzi prasowych wiadomo, że „Maria Stuart" w reżyserii Z. Sawana będzie grana w Teatrze Malickiej. Może wtedy osoba ta, która reżyserowała w P. I. S. T-cie „Marię Stuart" czegoś się nauczy od Sawana, który reżyserią Kitty", „Zamieszaja", a zwłaszcza „Profesją pani Warren" wykazał, jak należy do tego podchodzić.

Ponieważ naogół materiał jest dobry, jeśli młodzież nie zyska uznania prasy, niech ma pretensję do P. I. S. T-u, który powinien być gruntownie zreorganizowany. Do tematu tego powrócimy jeszcze niejednokrotnie. Nie należy zrażać się jednak i wejść w środowisko prawdziwych aktorów, zacząć pracę p r a k t y c z n ą, o której pisał w poprzednim numerze „X Muzy" p. L. Brodziński.

Ksawery Janicki

Z POLSKIEGO ŚWIATA FILMOWEGO

„PARADA WARSZAWY" będzie rewelacją polskiej produkcji filmowej.

Od dwóch tygodni w atelier „Sfinksa" wre gorączkowa praca. Na hali słychać donośny głos reżysera Konrada Toma, który realizuje jeden z najbardziej oryginalnych filmów polskich p. t. „Parada Warszawy".

Jest to tak zwany film gwiaździsty. Film o obsadzie, jakiej nie miał żaden z dotychczasowych. Bo proszę: Jadzia Andrzejewska, Stefcia Górska, Lena Żelichowska, Loda Halama, Hanka Ordonówna, Irena Skwierczyńska, Helena Grossówna, Zofia Terné, Romuald Gierasiński, Kazimierz Krukowski, Stanisław Sielański, Józef Orwid, Chór Dana...

To imponuje!

Olbrzymi zastęp najpopularniejszych artystów, reprezentujących humor, taniec, piosenkę, dowcip i sentyment. Wszystkie — dosłownie — największe talenty polskiej sceny, estrady i ekranu tworzą wspólnym wysiłkiem (oczywiście kierowane mistrzowską ręką reżysera Toma) „Paradę Warszawy", która niewątpliwie przejdzie do historii polskiego filmu, jako parada niezrównanych pomysłów.

Obsada i reżyser to talenty wielkiej miary. A taki zespół wielkich artystów może stworzyć tylko film wielki i piękny.

Jak w kalejdoskopie przesuwają się wrażenia. Każde inne i każde mocne. Każde stanowi zamkniętą w sobie artystyczną całość, każde posiada ten wdzięk, jaki ma z pośród wszystkich miast polskich jedynie Warszawa. Na cześć Warszawy powstała jej „Parada".

Dyrektor Danny Kaden, inicjator i kierownik produkcji „Parady Warszawy" zapowiada pewną rewelację techniczną, która w tej chwili osłonięta jeszcze musi być tajemnicą. Wkrótce jednak w specjalnym komunikacie wytwórnia „D. K. Film" uświadomi publiczność na czym to polega.

Na razie wiemy, że „Parada Warszawy", która otworzy sezon kina „Stylowy" w Warszawie zapowiada się imponująco.

I z tego jesteśmy dumni.

PRODUKCJA WYTWÓRNI „FENIKS" NA SEZON 1937/8 R.

Wytwórnia FENIKS po ukończeniu „ZNACHORA" wg. znakomitej powieści Dołęgi-Mostowicza przystąpiła do produkcji dwóch filmów, wyróżniających się bogactwem tematycznym oraz dużym wkładem wartości technicznych i artystycznych. Więc przede wszystkim „DYBUK" legenda dramatyczna An-skiego, wysoce oryginalna w swej myślowej treści i konstrukcji dramatycznej, znana jest nietylko w Polsce, lecz i zagranicą, gdzie była wystawianą na pierwszorzędnych scenach. Reżyseruje Michał Waszyński. Kierownictwo artystyczne Andrzej Marek. W „DYBUKU" grają: Dina Halpern, Lili Liljana, Abram Morewski, Samberg, Lipman, Liebgold, Bożyk i inni.

Drugi z kolei film to komedia muzyczna popularnych „radio-batiarów" Szczepka i Tońka. Scenariusz napisał Wiktor Budzyński, kierownik Lwowskiej Wesołej Fali, — który najlepiej zna możliwości sympatycznych lwowskich wesołków. Tytuł filmu „Górą rekruci". Znajdzie w tej komedii ujście cały nasz niefrasobliwy humor żołnierski, piękne i barwne życie naszej dzielnej wiary żołnierskiej, odtworzą: Szczepko, Tońko, Sielański, Rakowiecki i inni.

Trzy filmy tegorocznej produkcji wytwórni „FENIKS": ZNACHOR, DYBUK i GÓRĄ REKRUCI — otworzą na ekranach stołecznych oraz największych kin Polski sezon 1937/8 r.

NASZE WYWIADY

Z TAFLI LODOWEJ NA SCENĘ

WSCHÓD KARIERY ELENY TANASCO

Jakaż ona urocza! Pomyślałam — mimowoli, gdy z głębi mrocznej w godzinach rannych widowni teatralnej wyłoniła się sylwetka młodej tancerki — Eleny Tanasco.

Smukła, wysoka dziewczyna wyciąga do mnie szczupłą, o długich wąskich palcach rękę...

— Bon jour, Mademoiselle... Un interview?... Eh bien, avec plaisir.

Z pierwszych słów zamienionych z p. Tanasco (prawdziwe nazwisko, której brzmi — Atanoscović), dowiadujemy się, że jest z pochodzenia jugosławianką. Na scenie występuje od dwóch lat. Obecnie ma siedemnaście lat. Już jako mała dziewczynka zdradzała wybitne zdolności taneczne, nie myślała jednak wcale o karierze scenicznej, a na scenę trafiła przypadkowo, dzięki.. sportowi.

— Uprawiałam z zamiłowaniem łyżwiarstwo. Szczególnie lubiłam jazdę figurową. Kiedy przed dwoma laty, jako reprezentantka Jugosławii, zdobyłam drugą nagrodę na Międzynarodowych Zawodach Łyżwiarskich w Pradze, postanowiłam uczyć się tańca, mając na względzie udoskonalenie swojej sztuki łyżwiarskiej. Ponieważ już od dawna taniec bardzo mnie pociągał i okazało się, że zdradzam w tym kierunku zdolności moi profesorowie namówili mnie do dalszego kształcenia się.

Asystująca przy naszej rozmowie profesorka młodej gwiazdy, p. Bekeffi, słynna baletmistrzyni i b. współpracowniczka teatru Reinhardta, uzupełnia informacje mojej rozmówczyni, dodając, że jako pietnastoletnia dziewczynka, Elena Tanasco występowała już w operze w Pradze, gdzie wzbudziła ogólny podziw dla swego talentu choreograficznego.

— A więc przez sport łyżwiarski do... baletu! Przypomina to karierę Soni Henie. Czy pani nie myśli także o grze filmowej?

— Owszem mam nawet propozycję nagrania filmu dźwiękowego w Pradze.

— Zna pani więc dostatecznie język czeski?

— Oh! Znam czeski, francuski, angielski, niemiecki równie dobrze, jak mój rodzinny język serbski — odpowiada z uśmiechem p. Tanasco. No, a obecnie staram się nauczyć także polskiego, co mi się nawet, jak na początek, nieźle udaje.

W jaki sposób znalazła się pani w Polsce?

— Przed dwoma laty — mówi z ożywieniem złoto-włosy elf — przyjechałam przypadkowo do Zaleszczyk, gdzie poznałam p. Lodę Halamę, która widziała mnie w tańcu i korzystając z okazji namówiła na występy w waszym miłym kraju, zresztą za granicą wiele słyszałam o wysokim poziomie polskiej sztuki tanecznej.

— Gdzie zetknęła się pani po raz pierwszy z naszą publicznością?

— W „Baronie cygańskim". Jednocześnie jednak rozpoczęłam naukę w szkole operowej pod kierunkiem p. Pianowskiego. Później tańczyłam w Teatrze na Karowej — w „Gejszy" i „Wesołej wdówce", no a teraz, jak już pani wie, występuję w operetce „Coletta" Benatzkyego, wystawionej na scenie Teatru „8.15".

— A co po tym?...

— Z Polski udaję się do Berlina, gdzie mam już zakontraktowane występy. A później?... Nie jestem jeszcze zdecydowaną. Możliwe, że wyjadę do Anglii w zespole Parnella.

— I zawsze tak sama podróżuje Pani po świecie? — zapytuję ją ze zdumieniem, patrząc na dziewczęcą twarzyczkę.

— O, nie — protestuję gorąco p. Tanasco. Jeździ ze mną matka, która gorąco interesuje się moją przyszłą karierą. Za jej też namową rozpocznę wkrótce i naukę śpiewu. Wszyscy namawiają mnie również, na wstąpienie do szkoły dramatycznej... A co pani o tym sądzi? — rzuca znienacka pytanie tancerka.



ELENA TANASCO Fot. „Foto-Forbert"

— Sądzę, że posiadając talent, urodę i taki zapał do pracy, może Pani i na tym polu osiągnąć dużo.

Głos reżysera wzywającego p. Tanasco na próbę przerywa naszą rozmowę. Żegnam zarumienioną jugosłowiankę, życząc jej sukcesów na drodze do sławy.

Aleksandra Justynówna

KONIEC SROMOTNEGO SEZONU OPEROWEGO

Skończył się haniebnie. „Toscę" (z wyst. zagranicznego tenora) i „Straszny dwór" śpiewano w kotarach lub też z prymitywnymi przystawkami, wobec strajku pracowników technicznych. O poziomie artystycznym tych widowisk lepiej zamilczeć.

Nie lepszą była całość sezonu. Niefortunna premiera baletowa, po tym „klapa" Kinzlowskiej „Markizy", słabe i staroświeckie „Dzwony Kornewilskie" (operetka miała ratować kasę, a szła przy pustej sali), mierna obsada „żelaznego repertuaru", niski poziom muzyczny, niechlujstwo reżyserii — oto bilans reform, poczynań, działalności p. Mazarakiego. Publiczność odzwyczaiła się znów od chodzenia do Opery, sporadyczne występy Szalapina, Toti dal Monte, C. Valasquez, Tiany Lemnitz, Badescu i t. d. nie zmieniają postaci rzeczy. Nawet Bandrowska nie „ciągnęła" w tej atmosferze apatii i szarzyzny. Po „Turandot" prasa jednomyślnie wspominała kreację Fedyczkowskiej w roli Liu. Wielka artystka śpiewa w Poznaniu, gdzie też pracuje słynna i we Włoszech dr. Stani Zawadzka. Obie artystki podobnie jak fenomen głosowy — Lucyna Szczepańska, nie zdobią naszej stołecznej Opery, gdzie panuje kult przeciętności, zaściankowa wzajemna adoracja, brak silnej ręki i inicjatywy. W tych warunkach Warszawa nie interesuje się Operą — i słusznie.

Ale co dalej?

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego 12)

(ciąg dalszy)

Zaczęła się przerwa, kelnerzy zmieniali nakrycia (podczas produkcji panowała cisza idealna).

Geornescu rozglądał się dokoła, jakby w tłumie tak bardzo obcym spodziewał się spotkać jakąś znajomą twarz. Thea z przerażeniem niemal stwierdziła, że już szereg lornetek obserwuje ją. Wprawdzie wszystkie dzienniki przez 3 dni pełne były jej podobizn, ale...

— Dzisiejsze gazety zapowiadały twój pobyt w „French-Casino" — powiedział Geornescu, jakby odgadując myśl żony. W słowach jego była wyraźna przestroga. Opanuj się, jesteś zdenerwowana, możesz źle wyglądać, patrzą na ciebie.

I Thea opanowała się. Przez cały czas antraktu rozmawiała z mężem o wszystkim i o niczym, a gdy kierownik lokalu wręczył jej w imieniu dyrekcji „French-Casino" wspaniały bukiet róż, gdy conferencier ogłosił zebranym wizytę nowej wielkiej gwiazdy, Thea rozdając na prawo i lewo rozjaśnione uśmiechem ukłony, pomyślała przez chwilę, że oto doszła do szczytów. N. York wita w niej gwiazdę Hollywoodu!

— To już chyba ostatni etap kariery— pomyślała. A po chwili radosna myśl zbladła. Przed oczyma pojawiła się znów postać boksera. Pierwszy raz doznała Thea uczucia śmiertelnego lęku. Jakby ktoś szepnął jej w ucho ostrzeżenie. Otuliła się nerwowo w gronostajowy płaszcz...

Ale znowu przemówił głos rozsądku:

— To powiał chłód z wentylatorów. Nic więcej. Czegóż się lękać...

Rozdział XIX.

HOLLYWOODZKI RUBENS.

Tom Rean charakteryzował się przed wielkim lustrem w swojej „loży". (Tak nazywają w Hollywood garderoby artystów). Pomagał mu w tej precyzyjnej odpowiedzialnej pracy wytrawny fachowiec, zwany „Rubensem". Dlaczego Rubensem? Tak podobno nazwała charakteryzatora pewna europejska gwiazda, niezbyt zadowolona z dokonanej w Ameryce „przeróbki" jej twarzy. I poczciwy Noah został Rubensem, sam nawet tak siebie nazywał w chwilach dobrego humoru.

— Widzę zdziwienie w pańskich oczach, panie Tom! Ale to tylko dziś. Już jutro przyzwyczai się pan do swojej nowej twarzy i będzie pan wdzięczny Rubensowi — prawił charakteryzator.

I miał rację.

Tom patrzał na swoje odbicie w lustrze ze zdumieniem.

Czy to był on?

Jakiś obcy wyraz czaił się w krzaczastych (od kiedy?) brwiach, zaostrzony nos odebrał twarzy tak charakterystyczną dziecięcość, odpowiednio podretuszowane policzki i podbródek zatraciły dobroduszną okrągłość. Tylko szafir oczu pozostał ten sam, ale kilka umiejętnie zastosowanych dotknięć cienkiego pędzelka zmieniły oprawę i oczy Toma patrzały zupełnie inaczej, niż dotąd.

— Jest pan męski teraz, trochę „caveman" — poważnie mówił Rubens — reżyser będzie zadowolony, narzekał, że pańska twarz jest za chłopięca do sylwetki i do roli....

Scenariusz „Prawa Pięści" chciał widzieć w młodym bokserze człowieka o twardym sercu i żelaznej woli. „Przerobiono" więc Toma i koniec.

— Czy pan widział fotosy Marleny Dietrich z czasów przedhollywoodzkich? — spytał Rubens.

— Nie. Nie interesowałem się zresztą filmem — odparł Tom.

— Szkoda. A Gretę Garbo?

Tom, rzecz prosta, pojęcia nie miał o tym, jak wyglądała Greta Garbo przed karierą w Hollywood.

— Greta była okrąglejsza, grubsza, miała mniejsze oczy i pulchniejsze policzki. Skomponowałem jej nową twarz. To był mój największy sukces! Teraz przerobimy pana, a w tych dniach zabiorę się do tej węgierki. Trzeba ją zupełnie odmienić...

Tom jednak z nie dość wyraźnym podziwem słuchał opowieści genialnego charakteryzatora. Rubens obraził się i przestał mówić. A po chwili zapukano i wszedł asystent reżysera.

Tom uśmiechnął się przyjaźnie.

Ten młody francuz, studiujący pilnie tajniki amerykańskiej doskonałości filmowej, był już podobno w Europie samodzielnym realizatorem. Tutaj pełnił funkcje jednego z „adiutantów" przy potentacie, który niedawno wypłynął na zmiennym horyzoncie Hollywoodu.

Znosił cierpliwie despotyzm nerwowego i niecierpliwego, ale naprawdę znakomitego reżysera, znosił kaprysy rozhisteryzowanych „stars".

Aby tylko wytrwać i zdobyć stanowisko.

Tom szczerze polubił francuza i chętnie z nim gawędził, nie zdając sobie sprawy z tego, że najistotniejszą przyczyną tej przyjaźni był... Paryż, o którym bokser zawsze myślał z pewnym wzruszeniem, a które to myśli już niejako mechanicznie łączyły się z wspomnieniami przeżyć tak ważnych i jedynych.

Francuz tęsknił za Montparnassem, a Tom, słuchając akcentu „monsieur Jaque'a" zaczynał mówić po francusku, aby — pozornie — nie tracić zdobyczy paryskich i ćwiczyć się do „wersji francuskiej".

Tym razem Jaque był rozpromieniony, tryumfujący.

— Proszę mi powinszować, mister Tom i proszę od tej chwili odnosić się do mnie z szacunkiem — zawołał — mianowano mnie oficjalnym kierownikiem francuskiej wersji „Prawa pięści"...

(D. c. n.)

MIGAWKI TANECZNE

Jednym z najbardziej czarujących widowisk tanecznych był występ zespołu Ireny Prusickiej na wyspie w Łazienkach. Był urozmaiceniem rautu, wydanego przez wicemin. hr. Szembeka z małżonką dla członków Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i wzbudził istny zachwyt zarówno wśród członków M. K. Ol., jak wśród zebranych licznie sfer rządowych i dyplomatycznych.

Rozpoczęto od cyklu „Con festivo". Składał się z polonezu Szopena, będącego piękną inauguracją całości, „melodii" o impresjonującym akompaniamencie perkusyjnym, oraz hieratycznego „Largo" Corelli'ego. Konstrastował z tym pogodny taniec chłopski, po czym ujrzeliśmy kilka popisów solowych. Był tu stylowo ujęty i zatańczony gawot Prusickiej, był zatańczony z imponującym rozmachem i impetem marsz doskonałej w każdym calu Mannówny, był „motyw ludowy" Lubiczówny, przemiły dla oka, dzięki czarowi osobistemu wykonawczyni, wreszcie jubilersko - precyzyjne tanecznie allegretto Schuberta w wykonaniu Dobrowolskiej. Na zakończenie pierwszej części — prześliczny walc Straussa, w którym ogólną uwagę zwróciły fenomenalne skoki Mannówny, tancerki o niepospolitych umiejętnościach elewacyjnych.



FRANCISZKA MANNÓWNA
w tańcu egzotycznym
fot. Foto-Forbert

Drugą część rozpoczęła Hermanowska wdzięcznym „Krakowiakiem" Paderewskiego, przepojonym jej ujmującym urokiem osobistym. Nastrojowy „Taniec romantyczny" Debussy'ego, ładnie ułożony i pięknie wykonany przez Dobrowolską, Grodzieńską, Mannównę i Stecką, zdobył ogólny aplauz, najzupełniej zasłużony. Starowiedeńska polka rodzajowa Prusickiej była układowo i wykonawczo najlepszym punktem programu. Podobał się również udany popis solowy Grodzieńskiej, która powabnie odtańczyła „Valse triste" Sibeliusa, a porywający mazur z „Halki" był godnym zakończeniem tego niezapomnianego, czarującego widowiska.

×

Trzy ze wspomnianych tancerek: Dobrowolską, Hermanowską i Mannównę ujrzałem wnet po tym na popisie studium baletowego Zygmunta Dąbrowskiego, u którego te tancerki słusznie uzupełniają swe umiejętności, pracując nad techniką klasyczną. Dobrowolska i Hermanowska są na niższym kursie, ale poczyniły już dość poważne postępy, Dobrowolska może trochę większe, podczas gdy Hermanowska ujawnia jeszcze pewną chwiejność, zwłaszcza, przy przejściu z „attitude" w „arabeskę". W każdym razie obie zasługują na szczególne uznanie, że tak starannie pracują, aby uwszechstronnić się tanecznie. Mannówna jest na wyższym kursie i na najlepszej drodze, by zabłysnąć, jako doskonała klasyczka. Jej wykonanie klasycznej polki z „Kopelii" stało na tak wysokim poziomie, że obecny na popisie słynny baletmistrz Ciepliński chciał ją z miejsca zaangażować. I słusznie. Taniec był wykonany ze zdumiewającą lekkością i perfekcją techniczną. Mannówna już dziś potrafi to, co uczennice szkoły baletowej teatru Wielkiego, pracujące od dziecka. Z innych uczennic wyższego kursu nader korzystnie zaprezentowała się Baurska, już niemal gotowa tancerka. Podobała się także Olszyna w mazurku Szopena. Dopełniła zespołu tej elitarnej czwórki Hulanicka, wieloletnia rutynowana tancerka, która wszakże nadal nie zaniedbuje studiów, więcej czasu teraz udzielając tańcowi klasycznemu, i osiągnęła ładne wyniki w po męsku ujętej wariacji Straussa.

×

Wielką ucztą dla znawców tańca był wspaniały popis baletu Opery Paryskiej na raucie w ambasadzie francuskiej. Zaprezentowała się tam primaballerina Opery Paryskiej Lycette d'Arsonval, jej młodsza koleżanka Sertelon oraz pierwszy solista Paul Goubé. Lycette d'Arsonval znamy jeszcze z międzynarodowego konkursu warszawskiego, na którym przed czterema laty uzyskała dyplom honorowy. Dziś zrobiła ogromne postępy. Tańczyła wręcz zachwycająco. Jej partner Goubé jest najśliczniejszym i najzgrabniejszym chłopcem, jakiego tylko można sobie wyobrazić, a przy tym świetnym tancerzem. Sertelon, zaprezentowała się też bardzo milutko, tańcząc „Rêve d'amour" Liszta i walca Straussa z Goubé. D'Arsonval była świetna, zwłaszcza w „Szopenianie" i w „Niebieskim Ptaku" Czajkowskiego. We wszystkich tańcach partnerował jej Goubé — arcyznakomicie. Tak wielkiej klasy tańca u nas, niestety, się nie widuje.

Henryk Liński



„MECENAS BOLBEC i jego mąż". Świetna komedja Berra i Verneuiia grana w teatrze Kameralnym z dużym powodzeniem.

NAJPRZYJEMNIEJ I NAJWESELEJ w teatrze Kameralnym

Przyjęta entuzjastycznie, pełna humoru i przezabawnych sytuacji, kapitalna komedia Berra i Verneuila „Mecenas Bolbec i jego mąż", której premiera odbyła się przy wypełnionej do ostatniego miejsca widowni, grana jest obecnie codziennie w Teatrze Kameralnym w doskonałym wykonaniu: Ireny Grywińskiej (rola tytułowa), Hanny Różańskiej, Hanny Parysiewicz, Balcerzaka, Dardzińskiego i Rzęckiego. Świetna ta sztuka bawić będzie publiczność przez długi szereg wieczorów, nie tylko dzięki doskonałej grze artystów, ale również dzięki swoim niepoślednim walorom komediowym, trafnej reżyserii i pięknej oprawie scenicznej prof. St. Jarockiego. Dodać należy, że sala Teatru Kameralnego jest dzisiaj bodaj jedyną salą teatralną w Warszawie, gdzie nawet przy obecnych upałach panuje orzeźwiające, chłodne powietrze, co również niezwykle umila spędzenie wieczoru.



TEATR

„CEZAR I CZŁOWIEK"
Teatr Polski

Nowaczyński ukazał nową twarz w „Cezarze i człowieku". Kto wie czy ta sztuka, której doraźny sukces będzie prawdopodobnie tylko średni, nie jest najcenniejszym z utworów autora „Samozwańca" i „Wielkiego Fryderyka"?... Ale wszystkie literackie walory, wszystkie cechy pogłębienia i dojrzałości talentu, napewno wyraźniej są wyczuwalne podczas czytania, niż we wrażeniu, jakie odnosi się ze sceny. Kto wie, czy to tylko wina autora. Teatr dał sztuce oprawę bogatą, dał reżysera, który tyle już święcił sukcesów (Węgierko), dał w tytułowej roli jednego z największych aktorów naszych dni — Junoszę-Stępowskiego.

A jednak całe przedstawienie było raczej słabe. Zawiodła w pierwszym rzędzie odtwórczyni głównej roli kobiecej. Lukrecja Borgia przerasta młodzieńcze zasoby sztuki aktorskiej p. Niny Andryczówny. Ta ciekawa i niewątpliwie utalentowana aktorka, o indywidualności niebanalnej, walczyła dzielnie z trudnościami nad siły. Ale w tej walce musiała ulec, co zresztą należało przewidzieć i... obsadzić w roli Lukrecji kogoś innego. Kostium, styl, gest — to jeszcze rzeczy zbyt skomplikowane dla zdolnej, ale surowej artystki, którą nawet wszyscy uznajemy i w której przyszłość wierzymy. W mniej wdzięcznej roli wywyższyła się po nad nią na całej linii p. Zofia Grabowska, dojrzała i świadoma swych środków siła, niesłusznie ostatnio pomijana i lekceważona. Cezar — Junosza-Stępowski miał chwile przepyszne, ale... tylko chwile. Wyglądał za staro, co zresztą można było naprawić szczęśliwiej obmyślonym kostiumem.

Inne role grane były szaro. Samborski, ostatnio trochę w T. K. K. T. zgaszony, nie czuł się dobrze w skórze komika.

J. K.



JESZCZE O „CUDZYCH PIÓRKACH"

Nie przebrzmiały bez echa nasze wyrazy zdziwienia w związku ze sprawą, w której pierwsi zabraliśmy głos.

Mamy na myśli artykuł p. t. „Cudze piórka" zamieszczony w poprzednim numerze.

P. Monika Żeromska, córka wielkiego pisarza, wystąpiła z protestem przeciw nadużywaniu przez reprezentacyjną scenę stolicy — Teatr Narodowy, pomysłów twórczych autora „Popiołów" do eksperymentów młodego pisarza, p. Zawieyskiego. Krótki, ale treściwy list do T. K. K. T. kończy się słowami: „żądam zaniechania przedstawień". Dyrekcja Teatru Narodowego odpowiedziała córce genialnego pisarza równie krótkim i treściwym pismem — „premiera odbyła się".

Spadkobierczyni Żeromskiego niewątpliwie nie poprzestanie na proteście i bronić się będzie przeciw samowoli literackiej młodego dramaturga na drodze sądowej.

FILMY TYGODNIA

„DZIKIE ŚCIEŻKI"
(kino „Roma")

Jest to najpiękniejszy film ze świata zwierzęcego, jaki dano nam (poza wyświetlaną przed dwoma laty „Sequoią") oglądać w tej dziedzinie. Dotychczas widywaliśmy na ekranie zwierzęta fotografowane wyłącznie jako obiekty naszej ciekawości — tutaj zaś są one głównymi bohaterami. Akcja filmu jest też historią zwierząt, a ludzie stanowią tylko jak gdyby odległy dodatek.

Jest to prosta, tchnąca poezją dzikiej przyrody opowieść o przyjaźni psa-wilka i konia. Poznajemy je jako szczenięta i z zapartym oddechem śledzimy koleje ich życia, pełne niebezpieczeństwa zewsząd czychającego.

Podziw w „Dzikich ścieżkach" budzi jednak nie tylko scenariusz, pozbawiony szablonu, ale i metoda realizacji filmu. Zastanawia wprost, w jaki sposób twórcy obrazu zdołali podpatrzeć i wczuć się tak doskonale w psychikę zwierzęcych aktorów!

Film żyje i tchnie czystą, upajającą atmosferą. Z ekranu świeci jasne słońce, którego promienie odbijają się w szczytach pokrytych śniegiem gór, skąd wieje nieprzeparty urok baśni o zwierzętach.

„DARMOZJAD"
(Kino „Stylowy")

Nazwisko Wallace Beery daje dostateczną gwarancję, że film, w którym gra — jest bardzo interesujący choćby w sensie aktorskim. Tak jest również z „Darmozjadem", którego rolę kreuje ten inteligentny artysta.

Treść komedii jaskrawa w wymowie faktów, dobitna w rysunku charakterów, zaprawiona pieprznym sosem satyry. Rozbrajają i przerażają naprzemian jej bohaterowie naiwnie bezczelni, dziecięcy i brutalni — mentalność małomiasteczkowego amerykanina schłostał scenarzysta bezlitośnie. Humor nie jest tutaj ani trywialny, ani naciągany, jest to zdrowy śmiech wynikający z niespodziewanych sytuacyj, w jakich znajduje się raz po raz bohater obrazu.

O wszystkich aktorach trzeba wyrazić się z pochwałą. Doskonała jest artystka, która gra rolę żony. Cecylia Parker jest miła i słodka.

Pełno w tym filmie ruchu, gwaru, doskonałe tempo, dobre zdjęcia i reżyseria — na właściwym poziomie, to też bawi on szczerze.

„HOLLYWOOD"
(Kino „Rialto")

Kulisy amerykańskiej produkcji filmowej, ukazanej w krzywym odbiciu, bywają niekiedy śmieszne, ale i — nader pouczające: przecież tam, więcej niż tutaj, u nas, panuje wszechwładnie rekiniarstwo, które jednostki doprowadzone do ostateczności rzuca na pastwę kapitału wysysającego z nich siły dla własnych korzyści. Nieszczęśliwy wyaranżowany „gwiazdor", ofiara reklamy producentów filmowych i wydawców czasopism, ma stanowić właśnie jeden z symboli tego, co nazywa się — Hollywood.

Scenariusz obrazu daje przekrój życia aktorów filmowych, a jednocześnie przeprowadza wątek erotyczny, w którym miłość zwycięża przesądy.

Film łączy w sobie ciekawą treść, efektowną wystawę, oraz dobrą grę artystów z John Halliday i Marscha Hunt na czele.

Wiesław Bończa-Tomaszewski



Zygmunt Turkow, Dina Halpern, Berta Litwin w filmie „Ślubowanie". Fot. Leo-Film

NA MARGINESIE POPISU P. I. S. T-u.

Artykuł nasz „O konieczności pracy praktycznej w szkołach dramatycznych" (nr. 11) nie był, pozbawiony podstaw. Rezultaty odgradzania wychowanków P. I. S. T-u wystąpiły w całej okazałości na publicznym egzaminie, z którego recenzję zamieszczamy na innym miejscu.

Sprawozdawca „Kuriera Czerwonego" (J. M.) w numerze z dn. 22.VI pisze:

„Zdaje się, że metoda „cenzusów" w dziedzinie aktorstwa nie zaprowadzi daleko. Talentów należy szukać tam, gdzie się rodzą, a nie przy pomocy biurokratycznych systemów. Można by bowiem za kilka lat wobec monopolistycznych dążeń P. I. S. T-u zdewastować zupełnie teatr polski.

Przede wszystkim uważam, że należało by powrócić pod pewnym względem do metod dawnej Szkoły Aplikacyjnej, której wychowankowie nie tylko mogli, lecz nawet musieli grywać epizodyczne rólki i statystować w przedstawieniach poszczególnych teatrów. Obecnie Pistowcom takie praktyczne zapoznawanie się ze sceną jest wzbronione. Dlaczego? Odgradzanie ich od rzeczywistego życia teatru wytwarza rozgadanych teoretyków, krytykujących niezwykle śmiało osiągnięcia doświadczonych artystów, a błądzących bezradnie po scenie, kiedy im samym przyjdzie dać coś z siebie.

Kwestia ta — o tak wielkiej doniosłości dla przyszłości polskiej sceny domaga się stanowczo poważnej analizy i dyskusji."



REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—18
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa. Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810-81.
CENY OGŁOSZEŃ. Cała strona zł. 400. 1/2 strony—zł 240. 1/4 strony zł. 140. 1/8 strony — zł. 80. ogłosz. dwukolor. 50% drożej
1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szp ltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I. Nr. 226.
Kierownik wydawnictwa: EMMI GOLDFLUS — Wydawca JÓZEF KISELHOF — Redaktor WŁODZIMIERZ ŁOHAZA.
Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.